Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 30.
dnia 26. Czerwca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom II.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V.

NIESPODZIANKI.

W pałacu Jakóba Sterna coś ważnego się stało. Małomowna pani Sara gderze od rana do wieczora, i na córkę, gdy obok niej przechodzi, ani spojrzy; Stern wydląda zły, jak jeszcze nigdy; Rózia ciągle łzami zalana.

Kilka tygodni temu przyjechał z Wiednia jakiś młodzieniec, po którego Stern na kolej wysłał konie. Był wytwornie ubrany, na kamizelce miał łańcuszek złoty i gruby na palec, na obydwu jego rękach widać było pierścienie brylantowe, piękniejsze od tych, które Stern nosił, całe zaś wyglądanie i sposób mówienia zdradzały w nim finansistę. Był to ów młodzian pełen nadziei, którego Stern wybrał sobie na zięcia. Jak dotąd pracował on jeszcze w banku Rothschilda w Wiedniu, wszakże po ożenieniu zamierzał otworzyć własny kantor wymiany, z którego powoli miał wielki bank powstać. Stern tak był pewny, iż projektowane przezeń małżeństwo przyjdzie do skutku, że przed przyjazdem narzeczonego, córce swojej o nim ani wspomiał. Zresztą na co miał to czynić, skoro w ten sposób postępują wszystkie rodziny żydowskie. Ojciec i matka wybierają pana młodego, badają jego stosunki majątkowe, o posag się umawiają, i dopiero gdy wszystko ukończą, pokazują go córce, często ledwie na godzinę przed ślubem, mówiąc: Oto twój mąż! Jakkolwiek Stern kochał swą Rózię, nie przypuszczał, by inne z nią postępowanie było konieczne, bo skoro jego związek z Sarą ułożył się w takich samych warunkach, więc czemu i jego córka nie miała by być szczęśliwą z Salomonem Rosenzweigiem, o którym we Wiedniu twierdzono, że ma znakomitą głowę finansową.

Rózia gościa ujrzawszy, z początku ani się domyśliła, po co przybył. Interesa młyna parowego tylu obcych sprowadzały do domu jej ojca, że i ten młodzieniec mógł po mąkę przyjechać. Dopiero przy objedzie zaczęła się czegoś domyślać, a gdy przy czarnej kawie ojciec już nie dwuznacznie dał jej do zrozumienia, że Salomon będzie jej mężem, przerażona pobiegła do swego pokoju i na klucz w nim się zamknęła. Zgromadzeni w salonie uznali to za dobrą wróżbę. Narzeczony zakładając palec za kamizelkę, uśmiechnął się od ucha do ucha, a pan Jakób Stern mrugnął do żony, czem chciał powiedzieć, że Rózia, jak zresztą każda dziewczyna, gdy jej mówią o małżeństwie, musiała się zawstydzić. Czy matka zdanie to podzielała, trudno było odgadnąć. Zapatrzona w drzwi, które się za Rózią zamknęły, siedziała z chmurnem obliczem i w rozmowie męża z gościem żadnego nie brała udziału. Ci tym czasem układali spokojnie ostatnie warunki, pod jakiemi małżeństwo miało przyjść do skutku, i jak z jednej strony Jakób Stern wcale się nie wstydził, iż mimo że córkę nad życie kochał, chciał jej dać posag jak najmniejszy, obiecując po śmierci wszystko zostawić, tak znowu Salomon Rosenzweig, jako przezorny finansista, przewidując najrozmaitsze możliwości, między innemi także rozwód swego teścia, poślubienie innej kobiety i z nią nowe potomstwo, postanowił urwać teraz jak najwięcej, rozum bowiem

mówił mu, że pewniejszy wróbel w ręce niż kanarek na dachu.

Kiedy się ten targ odbywał, Rózia siedziała w swoim pokoju, trzymając ręce załamane. Twarz jej była przerażająco blada, oczy w jeden punkt zapatrzone, jakby skamieniały, usta lekko drgając, świadczyły o bolu wewnętrzym. Kiedy tam myślano, że ona marzy o szczęściu u boku Salomona, a tylko przyznać się wstydzi, ona tu tak cierpiała, że z oka nawet jedna łza jej nie wybiegła. Jak długo znajdowała się w tym stanie moralnego odrętwienia, sama nie wiedziała. Ocuciło ją dopiero lekkie do drzwi pukanie.

— Róziu! Róziu!

Wzdrygnęła się i szybko powstając zapytała głosem bez dźwięku:

— Co tatko rozkaże?

— Chodź do nas... przecie to nieładnie na dwie godziny takiego gościa porzucać... Pan Salomon już kilka razy pytał o ciebie. Strach jaki to człowiek rozumny i delikatny. A jaka głowa!... Chcąc niechcąc musiałem twój posag podnieść o 25 tysięcy!

— Niech mi tatko pozwoli zostać dziś samej... W piersi mojej tyle uczuć różnorodnych, że choćbym chciała, nie mogła bym być przyjemną towarzyszką...

— Róziu, co ty mówisz?

— Ach! tatku, błagam cię, pozwól mi tu zostać!

Ojciec chciał na swojem postawić, lecz córka tak prosiła, że w końcu przyrzekł ustąpić, wszakże pod warunkiem, jeżeli narzeczony na to się zgodzi. Poszedł też do niego, a po chwili wróciwszy rzekł:

— No, no, pan Salomon pozwala, żebyś sobie sama marzyła... przecie on to rozumie!... Strach jaka to głowa, a jaki delikatny! Tylko pamiętaj Róziu jutro rano ubrać się elegancko, żeby mu się podobać... On odjeżdża pociągiem południowym, ale za dwa tygodnie wróci. Słyszysz Róziu? Za dwa tygodnie zostaniesz jego żoną.. on aż z Wiednia po ciebie przyjedzie! Strach jaka ty będziesz szczęśliwa!

Wszystkich tych słów biedna dziewica nie słyszała, ani ich znaczenia nie pojęła. Wirowały one w jej głowie niewyraźnie, chaotycznie, przybierając jakieś kształty potworne, które ją dreszczem przejmowały. Gdy ojciec od drzwi odstąpił, zbliżyła się do swego łóżka i ukrywszy twarz w poduszki, gorzko się rozpłakała. Łzy ulgę jej przyniosły. Gdy po niejakim czasie przy sekretarzu usiadła, znacznie już była spokojniejsza, nawet lekki rumieniec zakwitł na jej twarzyczce.

Wyjęła swój pamiętnik, który leżał ukryty pod książkami. Gdy go otworzyła, wzrok jej padł najpierw na bukiecik kwiatów zasuszonych, który w nim spoczywał. Te kwiaty pochodziły od Ryszarda. Kiedyś tam, idąc z nią do kładki, zerwał je i podał z takim uśmiechem, że go do tej chwili pamiętała! Od tego dnia miała bukiecik tysiące razy w swym ręku, i on jeden był wiernym powiernikiem jej marzeń, westchnień i boleści. Wzięła go i teraz, a do ust przyciskając znowu łzami wybuchnęła... Po niejakim czasie położyła go przed sobą i wziąwszy pamiętnik, pisać zaczęła.

„Strasznego dnia dożyłam... kto wie nawet, czy nie okropniejszy od tego, w którym z jego ust usłyszałam, że na każdą żydówkę patrzy z pogardą... O! mój Boże! czyż mię tylko do cierpień przeznaczyłeś? Zdawało mi się, że po stracie tego, com ukochała, zostanie mi przynajmniej pokój niczem niezamącony, poprzedzający ciszę grobową... Tymczasem i to mnie zawodzi! O mój Boże! za jakież grzechy tak ciężko mnie doświadczasz?!“

„Dziś rano przyjechał do nas z Wiednia jeden z tych giełdowiczów, których sam widok przejmuje mnie zawsze wstrętem i oburzeniem. Nazywa się Salomon Rosenzweig i ma być synem miljonera... Twarz jego nie bardzo nawet brzydka, zato jaka przesada w ruchach, jakie w słowach pyszałkowstwo, jaki brak uczucia w jego pojęciach! Pieniądz! pieniądz! pieniądz! Oto czego pragnie, co kocha, w co wierzy... Kiedy przy objedzie zrobiłam uwagę, że jako Polka chciałabym żyć i umierać w mojej ojczyźnie, uśmiechnął się tak drwiąco, że mnie aż serce ścisnęło; potem z najspokojniejszą w świecie miną odpowiedział, że jak kapitał jest kosmopolityczny, tak i żydzi są prawdziwymi kosmopolitami... Oburzona chciałam mu słowa prawdy powiedzieć, usłyszawszy atoli że ojciec jego zdanie podziela, ukryłam niechęć w głębi duszy...“

„Myślałam, że go do nas interesa sprowadziły, tymczasem ma to być mój mąż!... Boże wielki! czemże przeciw Tobie zawiniłam, że mnie aż tak karzesz? Czyż nie dość nieszczęścia, żeś mi się kazał żydówką urodzić, czyż aby miarę cierpień wypełnić, potrzeba jeszcze, bym żoną żyda została? Tyle lat łudziłam się nadzieją, że to nigdy nie nastąpi, tyle

lat powtarzało mi przeczucie, że stanie się coś nadzwyczajnego i ja wbrew naszym zwyczajom żyda nie poślubię, a dziś nadzieje i marzenia pryskają jak mara zwodnicza, i rzeczywistość zimna, bezlitośna, nieubłagana, staje przedemną w postaci Salomona Rosenzweiga!“

„Nie, to mi się w głowie nie mieści! Być może że umrę, że oszaleję, ale ja jego żoną nigdy nie będę!... Zostać żoną żyda!... Czyż to nie znaczy być niewolnicą, którą właściciel może każdej chwili porzucić i omal nie sprzedać, zwierzęciem własnej woli pozbawionem, tworem, któremu ledwie poruszać się wolno? O! jak żywo mam Pismo przed oczyma. Abraham, ten nasz wielki patrjarcha, frymarczy żoną w krainie Faraonów i w ziemi Gerar, u króla Abimelecha, a syn jego Izaak, wstępując w ślady ojca, robi to samo z Rebeką! I w jakim że celu frymarczą temi, które powinne być połową ich ciała i duszy? Jedynie dla tego, że pragną, by za to dobrze im się działo... Więc dla zysku, dla korzyści materjalnej, zapierają się tych, które mają być powiernicami ich smutków i radości, podporą wśród życia walki i matkami ich dzieci!...“

„O! Boże chrześcijański, jak inne światy przed kobietą roztoczyłeś! Tyś jeden dał jej miłość i kazał ją kochać!“...

„Pan Salomon chcąc mnie zabawić, opowiadał wiele a swojem mieszkaniu, o meblach, jakie się w niem znajdują, o kobiercach i źwierciadłach w ramach złoconych, i o fontannie z wody kolońskiej, która bije w salonie. — Ja mam taki apartament — zakończył — że pani jak żyjesz nic podobnego nie widziałaś! — Gdym go zapytała jak czas spędza, zaczął długo i szeroko opowiadać o banku Rothschilda, w którym pracuje, o giełdzie i finansistach, w których kole sie obraca. Między innemi zapewniał mnie także, że nie jest skąpy, że lubi dobrze jeść, dobrze wypić i ubierać się według mody ostatniej, nareszcie że przepada za Offenbachem, i dla tego wieczory zawsze tam spędza, gdzie grywają utwory tego kompozytora. Oto upodobania człowieka, o którym mój ojciec twierdzi, że będzie moim mężem! Wszystko co materjalne ukochał, dla ducha nie pragnie nic, nic zgoła!...“

„I ja mam być jego żoną?“

„Czemu o Boże! dopuściłeś, żebym się wychowywała na pensji chrześcjańskiej, wśród dziewic mających inne niż my pragnienia, kierunki i zasady? Gdyby nie ten kilkoletni pobyt między niemi, byłabym dziś może i ja zimno i na wszystko trzeźwo patrzącą, jak wiele innych izraelitek, gdy przeciwnie dłuższe z niemi pożycie i do tego w epoce kiedy dusza najłatwiej wrażeniami przesiąka, zmieniło mnie zupełnie, tak że teraz jestem samotną wśród świata, który mnie otacza. Teraz mnie nikt nie rozumie i ja sama tych pojąć nie mogę, którzy mi są krwią najbliżsi... Pamiętam ilekroć pensjonarki szły do kościoła, z sercem bijącem biegłam z niemi, i w takiem ducha skupieniu, jakiegom w synagodze nigdy jeszcze nie miała, słuchałam rozumnych słów kaznodziei, spiewów choralnych i muzyki organów! Ilekroć znalazłam się w kościele, zdawało mi się, mnie biednej i przez ludzkość całą pogardzonej żydówce, że ten Bóg na krzyżu rozpięty, to mój Bóg, a ta Matka z sercem przebitem, to moja Matka, która mnie wysłucha, zrozumie i pocieszy!... O! jakież szczęśliwe te chrześcijanki... One mają Matkę pocieszycielkę, do której z całą ufnością udają się we wszelkich życia utrapieniach, a my mamy tylko Jehowę strasznego, który za winy ojców mści się na dziesiątych pokoleniach, który nie mówi: „Kochajcie mnie!“ lecz: „Bójcie się i słuchajcie!“... O! jakiż straszny ten Jehowa!...“

Chcą bym jego żoną została, i myślą że nią będę, bo nie wiedzą, że serce moje bije dla innego... Wprawdzie ten mnie odtrącił, lecz czyż dla tego, że mnie kochać nie może, ja mam o nim zapomnieć? Przenigdy! Za szczerość i rycerską otwartość, z jaką w obec mnie postąpił, ja go jeszcze bardziej kocham... To nie człowiek, to ideał! Inny byłby mnie łudził, on wprost powiedział: tobie nie marzyć, tyś żydówka!... Mamże się za to gniewać! Czyż ja sama, widząc w jak grubym materjaliźmie żydzi są pogrążeni, nie postąpiłabym tak samo na jego miejscu? Wszak im szlachetniejszy człowiek, tem bardziej musi się nami brzydzić“!...

„Co on teraz porabia, czy mu dobrze, czy szczęśliwy? Od dłuższego czasu wydaje nową gazetę i ludzie mówią, że i w tym kierunku ma wielkie zdolności. Mój ojciec złorzeczy mu, lecz ja mu błogosławię! Tak jest, błogosławię ci duchu czysty i wzniosły, który jak słup ognisty rozjaśniłeś ciemną ścieżkę mojego życia!... Pamięć o tobie będzie mi zawsze drogą, a wspomnienie tych chwil, któreśmy razem spędzili, wesprze na duchu upadającą... O! tak, ty mi dodasz sił teraz,

gdy wszyscy, nawet moi rodzice, przeciwko mnie stanęli!“...

„On serdecznie patrzał mi w oczy, on pod kaplicą rękę moją do swej piersi przycisnął, on wzruszeniem swojem okazał, że ma dla mnie przynajmniej współczucie, a ta, na którą on sam spojrzał, miałażby zostać żoną Salomona Rosenzweiga?“

„Nie! Nie! na tym świecie chyba to nie nastąpi! Nie wiem co się stanie, ale ja jego żoną nie będę!“

Tu pióro z ręki jej wypadło. Z salonu dolatywały przechwałki narzeczonego... Róża siedziała jakiś czas przy sekretarzu, przypominając sobie czasy minione i poznanie na Ekonomówce, i przechadzki do kładki i ostatnie słowa pod kaplicą... Spojrzała w okno. Na dworze zmierzch zapadał... Musiała powziąć jakieś ważne postanowienie, skoro ukrywszy pamiętnik między książkami, w około się obejrzała, potem wzięła kapelusz i na palcach cichutku z pokoju się wymknęła. Znalazłszy się w sieni, nie wyszła na podwórze, lecz bokiem zbiegła do ogrodu, z kąd dostała się na drogę.

Myślała, że jej nikt nie widział, tymczasem między drzewami dostrzegło ją bystre oko garbusa. Zaledwie znalazła się w alei lipowej, on pomknął za nią, wszelako tak ostrożnie, by go ujrzeć nie mogła.

Szła do kaplicy. Jak niegdyś droga do kładki wiodąca była jej najmilszą przechadzką, tak teraz celem jej wycieczek była zawsze kaplica Św. Jana. Wszak tam ostatni raz go widziała, wszak tam żegnając ją był wzruszony... Byłoż więc miejsce droższe jej sercu?

Stanąwszy pod kaplicą, spojrzała w około uważnie, a nie widząc nikogo, zbliżyła się do drzwi oszklonych i klęknąwszy na progu kamiennym modlić się zaczęła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

NAJNOWSZA POWIEŚĆ OKTAWJUSZA FEUILLET.

(Ciąg dalszy.)

Co do fizyczności, pan de Maurecamps, był chłopcem roslym i przystojnym, trochę za rumianym i trochę na swój młody wiek za nadto ociężałym. Silny jak tur, renomował tem widocznie, gdyż starał się rozwijać siłę w nieskończoność; z rana gimnastykował z żelaznemi ciężarkami, bił się godzinami na floretv, dwa razy na dzień zanurzał się z głową w wodę z lodu, i z dumą prezentował swoje potężne kształty, w trykotach ściśle przystających, w obec dobrych znajomych.

Takim był człowiek, ktoremu pani Latour-Mesnil z radością i zupełnym spokojem zdecydowała się powierzyć przyszłe losy wyższej istoty, nazywającej się jej córką. Służyło jej za wymówkę uczucie, przez wiele matek w podobnych razach doświadczane: oto kochała się po trochę w swoim przyszłym zięciu, któremu była nieskończenie wdzięczną, iż właśnie wybrał jej córkę; znajdowała, że ma wiele rozumu i dowcipu, skoro poznał się na wartości tejże córki, i że jest człowiekiem *par excellence* zacnym i szlachetnym, skoro przeniósł w niej piękność i przymioty osobiste, nad zalety więcej pozytywne.

Co do Joanny, była gotowiusieńką, jak już wyżej wspomnieliśmy, zakochać się na słowo matki. Zresztą, jak wszystkie młode marzycielki, ozdabiała pierwszego człowieka, którego wolno jej było pokochać, czarem poezji, z jej własnej duszy wysnutej; opromieniała czoło jego aureolą własnej piękności i czystości moralej, i zdawało jej się, że stoi przed nią jasny i doskonały, a to był tylko odblask zwodniczy, jej dziewiczej jasności i ułuda marzycielki. Trzeba przyznać, iż pan de Maurecamps, gdy raz mu pozwolono wystąpić w roli zdeklarowanego konkurenta, nieźle się z zadania wywiązywał, i o ile go stać na to było, zbliżał się do ideału przez młode dziewczęta wymarzonego, człowieka miłego, który się kocha w dodatku. Cukierki, bukiety i djamenty, nadają wtedy narzeczonym pewien polor poetyczny. Zresztą, najmniej nawet romantyczni, czują instynktowo, iż trzeba w tym razie zdobyć się na pogląd cokolwiek idealniejszy, i nie należy to wcale do zjawisk nadzwyczajnych, iż ludzie najprozaiczniejsi, po raz pierwszy i ostatni w życiu, siłą się na egzaltację poetyczną; jest to język odrębny, niby owa mowa zdrobniała i pieszczotliwa, używana w obec dzieci i piesków maleńkich, których łaski radzibyśmy sobie zaskarbić.

Ta epoka ułud i zachwytów nadziemskich, przeciągnęła się dla panny Lautor-Mesnil, przeplatana wspaniałościami zamkniętemi w *Corbeille de noces*, aż do chwili ślubu w kościele. W tym dniu niezatartym w pamięci, klęcząc u stóp wielkiego ołtarza, wśród blasku łagodnego świec jarzących, otoczona kwiatami i odurzona wonią kadzideł, z wdzięczną i strzelistą modlitwą na zbladłych usteczkach, z sercem pełnem czystej miłości, dłoń w dłoni z ukochanym, Joanna dosięgła nieba.

Nie jest to wcale zbyt śmiałe twierdzenie, iż po za

temi chwilami przedślubnemi, w których jest tyle czaru i uniesień nadziemskich, małżeństwo dla większej połowy kobiet jest li rozczarowaniem. — Słówko przez nas użyte, jest nawet za słabe, aby wyrazić męczarnie serca i umysłu wzniosłego, w pożyciu małżeńskiem z człowiekiem prostakowatym. Metody i przekonań pana de Maurecamps, co do sposobu usidlania kobiet i przywiązywania tychże do mężów, przyzwoitość nie pozwala nam bliżej określić; dość, a nawet za wiele powiemy, dając do zrozumienia, że dla niego miłość była synonymem żądzy, a żądza nasycona, jedyną rękojmią cnoty u kobiet zamężnych.

Pan de Maurecamps pomylił się w datach: mógłby mieć słuszność ze swojemi teorjami w owych wiekach barbarzyńskich, w których ludzie płci obojej mało co się różnili od leśnych niedźwiedzi. Zapominał, iż paryżanka, przez najwyższą cywilizacją urobiona, a przez najstaranniejsze wychowanie wydelikacona, jest wprawdzie kobietą, ale przestaje zupełnie być zwierzęciem. Jeżeli wraca do stanu dzikiego, co się zdarza czasami, to najniezawodniej mąż ją tamże nazad wprowadza.

II.

Od pierwszych dni, czuć było pomiędzy tem młodem małżeństwem chłód pewien; u niej była to gorycz płynąca z zawodu bolesnego, iż miłość wydała jej się zbliska tak odmienną od ideału, który stworzyła jej bujna fantazja; u niego była to podrażniona miłość własna pięknego mężczyzny, który nie czuje się dość ocenionym. Jednak pani de Maurecamps, mimo chaosu, wstrząsającego jej umysłem, ukazywała się tak matce, jak i światu całemu, z tem obliczem jasnem i spokojnem, które u młodych mężatek wprawia nas nieraz w taki podziw, a co dowodzi jedynie, jak potężną jest siła udawania kobiet. Urządzenie jej życia teraźniejszego, w pysznym pałacu, w Alma aleji, odurzenie przez rozmaite fety, dawane z okazji jej małżeństwa, olśniewający zbytek zewsząd ją otaczający, w meblach, ekwipażach i toaletach, pomógł zrazu — bądź jak bądź była kobietą — aby przejść pierwsze te chwile, prawie bez zastanowienia, i bez wielkiego zniechęcenia. Używania jednak, płynące li ze zbytku i z uciech czysto materjalnych, pominąwszy, iż nie były dla córki margrabiny de Latour-Mesnil tak wielką nowością, są tego rodzaju, iż się niemi bardzo wkrótce przesycić można. Żyła ona wraz z matką w sferach nadto wzniosłych, aby się zadowolnić nędzotą życia czysto światowego, a wśród wiru, w którym się obracała, porywała ją co chwila tęsknota niewypowiedziana, za temi właśnie wysokościami. Najsłodszem marzeniem jej młodości było, bujać kiedyś tam, wysoko z wybranym, prowadzić dalej z mężem, w najsłodszej spójni dwóch serc dla siebie wzajemnie bijących, owe życie idealne, w które ją matka wtajemniczyła, czytając z córką autorów ulubionych, dzieląc z nią myśli, uwagi, przekonania, wreszcie entuzjastyczne zachwyty nad wielkiemi zjawiskami natury, lub arcydziełami ludzkiego geniuszu. Łatwo się domyśleć, o ile pan de Maurecamps był zdolnym do takiej duchowej komunji. To życie idealne, tak odradzające każdego, a tak niezbędne dla kobiety, odmawiał on go zupełnie swojej żonie nie tylko przez gburowatość i głupotę, ale także z systemu. Pod tym względem miał również urobioną w swojej ciasnej mózgownicy formułkę; oto utrzymywał, iż wszelkie gusta estetyczne, są prawdziwym, a nawet jedynym powodem upadku kobiet. Wierny temu przekonaniu, znajdywał, iż wszystko, co może obudzić wyższy polot myśli w kobiecie, — poezja, muzyka, sztuka we wszelkiej formie, a nawet religja — powinny jej być udzielane małemi dawkami. Nie raz próbowała młoda kobieta zainteresować męża, tem, co ją interesowało. Miała głos prześliczny, śpiewała mu więc kawałki swoje ulubione, skoro jednak śpiew jej stawał się cokolwiek namiętniejszym:

— Nie, nie! — wołał mąż błaznując — nie tyle czucia moja droga! nie tyle duszy! bo zemdleję!

Lubiła poetów i romantyków angielskich, chwaliła przed nim szczególniej Tennyson'a, którego uwielbiała i zaczęła raz tłumaczyć ustęp z niego. Natychmiast pan de Maurecamps, z tym samym delikatnym dowcipem zaczął wyć, szczekać, i bić co siły pięściami w fortepian, aby zagłuszyć żony deklamację. — Tym sposobem chciał ją odzwyczaić od poezji — a nie rozumiał, iż raczej może jej prozę obrzydzić. — W teatrze, w galerji obrazów, w podróży, uciekał się do tych samych drwin i niesmacznych konceptów, skoro uważał, iż coś wywołało u jego żony silniejsze wrażenie.

Młoda kobieta przyzwyczaiła się powoli zamykać w głębi duszy wszystkie uczucia, stanowiące dla istot wyższych i szlachetnych prawdziwą wartość życia. Nie widząc płomieni na zewnątrz, pan Maurecamps powiedział sobie, iż pożar ugaszony i tem się szczycił.

— Wszystkie te djabelskie kobiety — mówił w klubie przyjaciołom — lubią bujać w chmurach, a to się źle kończy. Wziąłem moją młodziutką i dmuchnąłem na te wszystkie głupstwa romantyczne... Teraz uspokoiła się zupełnie — a i ja także!... Eh! mój Boże! kobieta musi się kręcić, niech biega, niech odwidza magazyny, ubiera się i rozbiera, niech paple kiedy i ile chce z przyjaciółkami, niech jeździ konno, wreszcie poluje z chartami: oto, jakie być winno życie kobiety... nie ma czasu myśleć... doskonale! Ale skoro zasiądzie w kąciku i rozmarzy się z Chopen'em lub Tennyson'em, oho! bywaj zdrów! przepadłeś z kretesem!... Taki jest mój system.

Niepodobieństwem było, aby ubóstwo tego systemu, jak i w ogóle brak inteligencji w jej mężu, nie zwróciły uwagi osoby jak pani de Maurecamps, obdarzonej umysłem bystrym i rozwiniętym. Nie długo dała się oszukiwać jego tonem imponującym i manierami aroganckiemi. Mężowie rzadko bardzo znają dobrze swoje żony, żony atoli znają tem lepiej i dokładniej swoich mężów. Rok nie minął, a już ostatnie spadły zasłony, wszelki urok znikł bezpowrotnie; baronowa musiała sobie powiedzieć, iż związała się na całe życie z czło-

wiekiem, o instynktach czysto zwierzęcych, bez cieniu wyższej inteligencji. Struchlała, spostrzegłszy, iż pogardza swoim mężem. Wielka to zasługa, jeżeli kobieta, po tak smutnem odkryciu, zostaje jednak żoną dobrą i uległą. Pani de Maurecamps miała tę odwagę, aby ją jednak zdobyć, musiała sobie z częsta przypominać, iż jest chrześcijanką, a zatem wyznaje religję, która lubuje się w cierpieniu, a żąda od swoich wyznawców gotowości do ofiar i poświęceń.

Gdy mniej więcej we dwa lat po ślubie, nastąpił wypadek bardzo zwykły w stanie małżeńskim, była nim zachwycona. Nie tylko miał on być dla niej źródłem pociechy na przyszłość, ale zapewniał jej chwilowo przynajmniej pewną swobodę i pewną niezależność. Wkrótce urodzenie syna sprawiło jej pierwszą rozkosz, czystą i zupełną, od kiedy zamąż wyszła: zwykle jest to jedyne szczęście, ktore nie zawodzi w stanie małżeńskim i dotrzymuje, czego po niem się spodziewano.

Pani de Maurecamps ma się rozumieć pragnęła sama karmić syna; spełniała tę powinność tem chętniej, iż tym sposobem zyskiwała na czasie i przedlużała sytuację w obec męża, która jej osobiście była nader przyjemną. Nadeszła wreszcie chwila, w której dziecię musiało być odłączone. W tym samym czasie pan Maurecamps ujrzał ze zdziwieniem pewnego wieczora, wchodzącą żonę w porze obiadowej, z włosami *á la Titus*. Kazała obciąć swoje cudowne warkocze pod pretekstem, że jej włosy wypadają, co było wierutną nieprawdą. Spodziewała się, iż ta ciężka ofiara, robiąc ją brzydszą cokolwiek, oszczędzi jej ofiar stokroć boleśniejszych. Przerachowała się niestety. Pan de Maurecamps znalazł właśnie, że ten rodzaj uczesania *á la* rekrut, nadaje jej fizjonomji cechę oryginalną i robi ją zachwycającą. Biedna kobieta daremnie ofiarę poniosła i nic jej nie pozostało, jak pozwolić włosom odróść na nowo.

Uwolnienie, do którego wzdychała w skrytości serca, przyszło z tamtąd, z kąd go się najmniej spodziewała. Istota tak piękna i tak szlachetna, zdolną była nietylko natchnąć, lecz również odczuć miłość najgłębszą, płomienistą i wiecznotrwałą, godną by stanąć w rzędzie z kochankami nieśmiertelnemi, których historja jak i ustna legenda pamięć uwieczniły. Miłość atoli pana Maurecamps nie mieściła w sobie podobnie trwałych żywiołów — była ona, że użyjemy ulubionego wyrażenia tegoczesnego — miłością realistyczną, a takie miłości, chociaż w niczem do róży niepodobne, podzielają tylko z tym pięknym kwiatem jego efemeryczną nietrwałość. Od dawna mówił sam sobie i dawał do zrozumienia swoim przyjaciołom, iż poślubił posąg dość przyjemny do widzenia, ale którego lody byłyby odstraszyły samego *Pigmaljona*. Mówił nawet o tem w sposób mniej przyzwoity, dobierając raczej porównań z historji naturalnej niż z mitologji. Pan de Maurecamps z natury wielce zazdrośny, był wcale rad okoliczności, która mu się zdawała być silną rękojmią bezpieczeństwa zupełnego w domowem pożyciu. Koniec końców zniechęcony tem, że był tak zapoznany, znudzony skrupułami i rozmaitemi przeszkodami, na które natrafiał co chwila, zajęty zresztą gdzieindziej o wiele przyjemniej, opuścił ostatecznie *Penaty* domowe, a żona nie myślała wcale sprowadzać go tamże napowrót.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

Oswald korzystał z napływu obcych, by wyjść ze sali cichaczem. Byłby lepiej zrobił hrabia Edmund, żeby mu był nie narzucał swojej woli tak apodyktycznie. Nie domyślał się wprawdzie, że Oswald dla tego tylko nie tańczył wcale tego wieczoru, aby ujść przed spełnieniem praw etykiety, a on mu gwałtem właśnie z nią taniec narzucił. Czuł Oswald, że się zdradził pomimowolnie, a gniew, którym teraz wrzał przeciw samemu sobie, nie mógł już zatrzeć raz odniesionego wrażenia. Czemu dotąd przeczył gwałtownie, do czego przed sobą samym przyznać się nie chciał, to mu ten taniec nieszczęsny wyjaśnił... odtąd pojął niestety co się w nim dzieje.

Nie znalazł i teraz samotności, tak mu potrzebnej, i której szukał z takiem utęsknieniem. W pokoju najodleglejszym dopadł go i przytrzymał pan radca, który tutaj również szukał wypoczynku po ciężkich obowiązkach czułego Adonisa, którą to rolę spełniał najwytrwalej przez cały wieczór przy hrabinie, przesadzając się dla niej w grzeczności i usłużności. Był uszczęśliwiony pan radca, że przecie za cały wieczór, do kogoś mądre słowo przemówi; o wymknięciu się przed nim nie było co i myśleć.

— Miałeś pan słuszność niestety — napomknął radca wśród rozmowy. — Według pańskich wskazówek, obejrzałem dokładnie dobra Ettersberg. Bezbożnie! bezczelnie! w nich gospodarowano. Wszyscy urzędnicy djabła warci! rządca bałwan do niczego, a hrabina tyle lat na ślepo mu wierzyła! Od kobiety nie można za wiele wymagać, ale z moim panem zięciem in spe rozmówię się na serjo. Dotąd i z nim nie było ratunku, tylko mu figle i czułości z narzeczoną w głowie świtały, ale od dziś zostaje panem samowładnym na Ettersberg'u, wszelka odpowiedzialność na nim ciąży, niechże się raz weźmie do czegoś!

— Edmund nic nie zrobi — wtrącił Oswald —

obieca wszystko, chwyci się nawet naraz wszystkiego... a w końcu niczego nie dokona. Spuść się pan na to!

Radca osłupiał na to kategoryczne oświadczenie:

— Więc pan sądzisz — odrzekł kwaśno — że Edmund nie dorósł do tak wielkiego zadania?

— Twierdzę to, z najzupełniejszem przeświadczeniem. Edmund jest miły, serca nader miękkiego, hojnie od natury pod każdym względem obdarzony, tylko brakuje mu energji i wytrwałości. Musisz panie radco sam się wdać w te sprawy, jeżeli chcesz Ettersberg uratować.

— A dla czegoż pan tego nie uczyniłeś? — zapytał radca z wymówką. — Widziałeś, skoroś powrócił, jak rzeczy stały i stoją!

— Nie miałem żadnego prawa mięszać się w cudze interesa.

— Cudze?! Myślę, iż pan byłeś w tym domu jak drugi syn wychowany?

Oswald zamilkł. Nie mógł radcy tłumaczyć w jakich stosunkach ze stryjenką zostaje, i w jaki sposób, przyjęto by jego wmięszanie się do rządów. Odpowiedział wreszcie wymijająco:

— Jeszcze wcześnie na wiosnę, zwracałem Edmunda uwagę na wszystkie braki w gospodarstwie, i na niedołężność tak rządcy, jak i reszty personalu, bez najmniejszego skutku niestety! Jednego kroku nie zrobił, aby złemu zaradzić. Pan masz za sobą powagę ojcowską; zresztą Edmund najchętniej podda jej się bezwarunkowo, byleś mu nie kazał działać na własną rękę.

Radca targał wąs niecierpliwie i patrzał przed siebie z miną wielce zafrasowaną. Niepodobała mu się widocznie charakterystyka Edmunda, skreślona tak ostro i bezwzględnie.

— Piękne aspekta na przyszłego ordynata! — mruknął pod nosem, a głośniej dodał, jakby tłumacząc: — Edmund taki jeszcze młody. Dotąd nigdy w domu nie siedział. Z posiadaniem, przyjdzie i interesowanie się własnością, i uczucie przyjemności, gdy wszystko w koło niego będzie w należytym porządku. Ale przedewszystkiem to straszne niszczenie lasów ustać musi - - tu radca tak się zagłębił w wywody, jakby temu i owemu radzić, iż wcale nie uważał, że mówi sam, nie odbierając żadnej odpowiedzi. Wreszcie spojrzał zdziwiony na swojego milczącego słuchacza:

— Czyś słaby panie Ettersberg? — zapytał. — Wyglądasz tak blado.

Oswald zmusił się do uśmiechu, i potarł ręką czoło:

— O! nic mi nie jest, tylko silna migrena, która mnie męczy od rana. Najchętniej byłbym się zupełnie usunął od uczestniczenia w dzisiejszej uroczystości.

— A przynajmniej, nie trzeba było tańczyć — radca zauważył. — Taniec zawsze ból głowy powiększa.

Usta młodzieńca drgnęły kurczowo:

— — Prawda! Nie powinienem był tańczyć... i to się też więcej nie powtórzy!

Głos Oswalda brzmiał tak głucho, i tak zdawał się złamany, że radca na serjo stanem jego się zaniepokoił, i radził mu, aby zeszedł do ogrodu, a na świeżem powietrzu, ból głowy przejdzie najrychlej. Młody człowiek chwycił się tej rady najchętniej, mogąc tym sposobem uwolnić się od radcy towarzystwa. Ten tymczasem patrzał za nim głową potrząsając, i żałował w duchu, że niepoczciwa migrena zmusiła go do zakończenia tak prędko rozmowy z prawdziwym genjuszem w dziedzinie agronomji.

Uroczystość skończyła się wreszcie, jak wszystkie fety tego rodzaju. Ettersberg utrzymał swoją dawną reputację; bawiono się świetnie i długo. O świcie dopiero zaczęto się rozjeżdżać. Edmund odprowadził radcę i pannę Linę do powozu, a Jadwiga, która miała zabawić dni kilka w Ettersberg, powiedziawszy dobranoc hrabinie, odeszła do swoich pokoi.

Przed chwilą tak pełne gwaru i ruchu apartamenta, chociaż pływały w całym blasku odświętnym, cisza teraz zaległa. Jedna hrabina w zadumie pogrążona, stała przed portretem męża, darowanym jej przed ślubem, a który po śmierci tegoż zdobił ściany głównego salonu. Było to oblicze łagodne, pełne dobroci, lecz w źrenicach zapadłych nie było już życia, ze zmarszczek i bruzd na czole wyzierała starość.

I był to istotnie starca wizerunek. Dziś jeszcze ta kobieta tak piękna, tak imponująca, nie byłaby stosowną dla niego towarzyszką. A temu starcowi oddano ją przed dwudziestu kilku laty! Czytało się całą historją jej życia; historją tegoż zawodów, a może i ciężkich boleści... w tym uderzającym kontraście, między jej do dziś dnia uroczą i młodocianną postacią, a tym człowiekiem zwiędłym i złamanym, długoletnią już podróżą po tym padole.

Podobne tym myśli zajmowały widocznie w tej chwili umysł hrabiny. Wzrok jej w obrazie tonący stawał się coraz smutniejszy i jakby łzami zamglony, wreszcie odwróciła się od portretu i przebiegła oczyma całą pyszną amfiladę i jej urządzenie iście królewskie. Wyraz twarzy stawał się coraz więcej ponury, uśmiech gorzki wykrzywił jej usta. Czy myślała, ile tym zwodniczym blaskom poświęciła, czy też żal jej było abdykować na rzecz drugiej, młodszej, i zstępować z tronu, na którym tyle lat królowała wyłącznie? Zdawało się jednak, że to pierwsze uczucie przeważało, i że bywały chwile, w których dumna i zimna hrabina Ettersberg przyznawała w duszy, ża była ofiarą, i tym, którzy ją wtrącili starcowi w ramiona, nie mogła tej zbrodni darować.

Głos Edmunda, z ganku powracającego, wyrwał ją z bolesnej zadumy.

— P a p a R ü s t o w — zawołał wesoło — jeszcze raz kazał twoje rączki ucałować. Zrobiłaś formalną konkietę. Rzucił się w taką dla ciebie galanterję, i tak się rozpływał w grzecznościach, żem go wcale poznać nie mógł dziś wieczór.

— Można z nim wyjść lepiej niż się spodziewałam.

Trochę dziki i nie bardzo w wyrażeniach przebierający lecz natura otwarta, i na wskroś energiczna, która może nawet się podobać przez swoją oryginalność. Ale twoja narzeczona Edmundzie, prawdziwe tryumfy dzisiaj zbierała. Jej dzisiejsze wystąpienie, najskuteczniej za twoim wyborem przemawiało.

Edmund się uśmiechnął:

— Istotnie Jadzia wyglądała czarująco dziś wieczór. W całem towarzystwie jedna tylko kobieta mogła z nią stanąć w szranki... moja matka.

Wzrok jego z takiem szczerem uwielbieniem spoczął na hrabinie, iż widocznem było, że mówi z przekonania, a nie dla czczego pochlebstwa. Hrabina smętnie się uśmiechnęła. Wiedziała, że może przyćmić najmłodszą kobietę, a nawet jej przyszła synowa, jaśniejąca młodością i niezwykłą urodą, nie zdoła jej zupełnie zakasować. Zadowolenie z tej pewności tak błogiej dla każdej kobiety, niknęło w tej chwili w obec głębszego uczucia, które jej serce zalewało. Wyciągnęła ramiona do syna z czułością niewymowną i cichym głosem zapytała:

— Czyś kontent teraz z twojej matki?

Młody hrabia przypadł do jej nóg, namiętnemi pocałunkami okrywając jej ręce i kolana:

— I ty się możesz pytać o to?! — zawołał — w chwili jak dzisiejsza, gdy spełniasz najgorętsze życzenia serca mego! Wiem jakąś mi ofiarę twojem zezwoleniem przyniosła, wiem jaką walkę musiałaś stoczyć o to z moim wujem.

Hrabina stłumiła westchnienie, wspomnieniem brata wywołane.

— Armand nigdy mi tej słabości nie daruje! Może i słusznie! Moją powinnością było bądź co bądź, stać silnie przy tradycjach rodu Ettersberg'ów. Nie mogłam atoli oprzeć się twoim prośbom i naleganiom. Chciałam przynajmniej ciebie widzieć szczęśliwym.

Wzrok hrabiny mimowolnie spoczął na męża portrecie. Syn złapał to spojrzenie w przelocie, i zrozumiał ostatnich słów znaczenie:

— Tyś nią nie była? — szepnął czule.

— Nie miałam powodu do skargi przez cały czas mego pożycia małżeńskiego. Mąż mój był zawsze względem mnie najlepszym i najdelikatniejszym.

— Ale był starcem — Edmund potrząsł głową, podnosząc równie oczy na portret o rysach bladych i zmęczonych — a tyś jaśniała pięknością i młodością, jak dziś Jadwiga jaśnieje, i miałaś równe prawa, żądać od życia szczęścia i miłości. Moja biedna matko! — głos jego drżał łzami tłumionemi. — Od kiedy szczytu szczęścia dosiągłem, pojmuję jak smutnem, jak pustem było twoje życie przy boku ojca mojego, mimo całej jego dobroci. On nie mógł ci dać owej rozkoszy uczuć wzajemnych w miłości, którą tylko młodość posiada. Znosiłaś twój los z godnością i rezygnacją męczennicy; ciężkie to jednak było zadanie, wiecznie ulegać prawom powinności, i wiecznie tłumić w sobie głos serca, które upominało się głośno o szczęście i miłość prawdziwą.

Przestał, gdyż hrabina nagle rękę z jego dłoni wyrywając z gniewem prawie zawołała:

— Daj temu pokój Edmundzie, dręczysz mnie tylko niepotrzebnie!

Syn umilkł pomięszany. Pierwszy to raz w życiu ośmielił się do uwag podobnych. Nie przypuszczał, by matka mogła czuć się niemi dotkniętą.

— Przebacz! — rzekł z cicha po dłuższej pauzie. — Nie chciałem przez to robić ojcu zarzutu. Nie było to jego winą, jeżeli przy jego boku bolałaś i tęskniłaś...

— Za niczem nie tęskniłam! — przerwała mu hrabina namiętnie — bo miałam ciebie mój synu! Tyś był dla mnie całym światem, wszystkoś mi zastąpił; nie pytałam o żadne inne szczęście, mając miłość twoją Edmundzie. Dotąd co prawda... — głos jej przycichł łzami stłumiony — posiadałam wyłącznie twoje serce... dziś muszę je z inną podzielić, która odtąd pierwsze w niem miejsce zajmować będzie.

— Matko! — Edmund żywo zaprotestował. — Ty zostaniesz zawsze czem byłaś, gwiazdą przewodnią życia mojego!

Boleśnie się uśmiechnęła.

— Wiedziałam przecie, iż przyjdzie czas, kiedy matka będzie musiała ustąpić miejsca narzeczonej; a jednak gdy ta chwila nadeszła, ciężko mi ją znieść, bardzo ciężko! Przychodzi mi nawet na myśl, aby w niczem jej nie przeszkadzać, po twoim ślubie opuścić Ettersberg i zamieszkać w Schönfeld, który to majątek mąż dla mnie kupił i urządził.

— Nigdy matko! nigdy! — Edmund żywo zawołał. — Nie możemy się rozłączyć, bo ty wiesz dobrze, że Jadwiga, mimo iż ją bardzo kocham, ciebie mi nie zastąpi, i tem, czem ty dla mnie byłaś, nigdy nie będzie!

Hrabina słuchała tych słów z uśmiechem tryumfu na ustach. Czuła ona dobrze, że chociaż dla narzeczonej jest miłym, uprzejmym, obsypuje ją grzecznostkami, i popisuje się przed nią dowcipem, zna ona z jego istoty, to jedynie, co udziela równie hojnie całemu światu. Serce jego, z całą głębią uczucia, zna dotychczas matka jedynie; dla niej otwiera skarby, zamknięte dla oczu profanów, niedostępne nawet dla narzeczonej. Może temu przekonaniu zawdzięczała Jadwiga przychylność hrabiny. Ta dzieweczka wesoła, roztrzepana, lubiąca hołdy i zabawy przedewszystkiem, była właśnie matce na rękę. Nie potrafiłaby ani sama tak ukochać, ani być tak namiętnie ukochaną, aby matkę na drugi plan usunąć, i to zadawalniało i uspokajało hrabinę, co do jej możnowładztwa w Ettersberg.

— Cicho, cicho! — przycisnęła głowę syna namiętnie do piersi wzburzonej. — Nie mów tego przed nikim Edmundzie! Czyż to wypada, żeby ordynat i przyszły ojciec rodziny oświadczał tak kategorycznie,

że bez matki obejść się nie potrafi? Myślisz, że mnie by łatwo było z tobą się rozłączyć?

— A myślisz, że ja bym ci odejść pozwolił? Moja ordynacja, nie zmieni ani na jotę, naszych dotychczasowych stosunków.

— Zmiana musi nastąpić Edmundzie — matka stanowczo odrzekła. — Dzień dzisiejszy nie jest li czczą formalnością. Dotąd byłeś tylko moim synem, i przyszłym dziedzicem, którym ja się miałam opiekować. Od dziś zostałeś przedstawicielem wielkiego rodu, głową domu Ettersberg'ów. Na twoich barkach spocznie odtąd cały ciężar, tyś powinien utrzymać dom ten starożytny w dawnym jego blasku i świetności. Niech cię Bóg błogosławi mój synu na tem stanowisku, i niech tobie i twojemu potomstwu da zakwitnąć w szczęściu i błogim spokoju! Jeżeli ujrzą to oczy moje, żadna ofiara nie była za wielką; o wszystkiem rada zapomnę com dla ciebie przeszła i... przecierpiała.

Z tych słów wiało coś więcej, niż boleść, lecz Edmund zrozumieć tego nie mógł, i ściskając teraz matkę, dziękował jej jedynie, za szczęście, które mu dawała, sama nigdy podobnego nic zaznawszy. Hrabina oddawała pieszczoty za pieszczoty, gdy w tem nagle drgnęła i tak gwałtownie syna ramionami opasała, jakby go chciała zasłonić przed wielkiem niebezpieczeństwem.

— Co ci to mamo? — spytał Edmund zdziwiony idąc za wzrokiem hrabiny. — Przecież to Oswald.

— Oswald... tak jest! — szepnęła. — On! i zawsze on!

Był to w samej rzeczy Oswald po dłuższej przechadzce z ogrodu powracający, który teraz stanął na progu, zażenowany widokiem obojga.

— Myślałem, iż nikogo tu już nie zastanę — tłumaczył się cichym głosem.

— A ja myślałam, żeś dawno w twoim pokoju — odrzuciła gniewnie hrabina. — Gdzieżeś przebywał do tego czasu?

— W parku — odrzekł lakonicznie, jakby nie uważał ostrego tonu stryjenki.

— Teraz, po północy? — przerwał mu Edmund. — Gdyby to nie było zniewagą dla twojej katońskiej powagi, posądziłbym cię, że jedna z naszych piękności ustrzeliła twoje serce. Czuje się wtedy pociąg niesłychany do rozmowy z księżycem, do spowiadania gwiazdom swoich bolów, lub nadziei. Już znowu marszczysz groźnie czoło? No, no, nie gniewaj się na miły Bóg! Mama tylko co nazwała mnie przedstawicielem i głową rodu Ettersberg'ów, otóż jako głowa domu zakazuję najostrzej i wypraszam sobie wszelkie marsy i miny ponure. Pragnę widzieć w mojem państwie same twarze uśmiechnięte i szczęściem jaśniejące.

Chciał po dawnemu ramieniem otoczyć pieszczotliwie szyję brata, gdy nagle hrabina wsunęła się pomiędzy nich, z ruchem tak energicznie przeciw podobnej poufałości protestującym, że Edmund onieśmielony o krok się cofnął. Jak dwa miecze obosieczne skrzyżowały się oczy hrabiny i Oswalda, z wyrazem nieubłaganej nienawiści.

— Tylko szczęście chcesz widzieć w koło siebie? — Oswald zimno zauważył. — Za nadto daleko rozpościerasz twoje możnowładztwo. Coś podobnego rozkazać, nie mógłby nawet prawdziwy pan i głowa domu. To jedynie w Boga wszechmocy! A teraz dobranoc Edmundzie, nie chcę wam dłużej przeszkadzać.

Skłonił się sztywnie przed stryjenką, nie ucałowawszy wcale jej ręki, i wyszedł ze sali. Edmund powiódł za nim wzrokiem, na pół gniewny, na pół zdziwiony:

— Oswald staje się codzień nieznośniejszy i mrukliwszy! Czy i ty to mamo zauważyłaś?

— Dla czego zmusiłeś go do zostania? — hrabina odrzuciła krótko i z goryczą. — Oto jak ci płaci za twoją miłość?

Młody hrabia potrząsł głową:

— Mnie się to nie tyczy. Coś jednak dolega Oswaldowi, coś bardzo ciężkiego! Widzę to jasno, choć on mi się przyznać nie chce. Tobie bo on pokazuje zawsze najgorsze strony swego charakteru. Ja go znam innym, i dla tego jak brata go kocham.

— A ja go nienawidzę! — wybuchnęła hrabina. — Wiem, że coś knuje przeciwko nam. W chwili, gdy życzenia szczęścia dla ciebie, tak gorąco z serca przepełnionego na usta mi wypłynęły, stanął nagle pomiędzy nami jak cień złowrogi, jak zwiastun niedoli. Czemuś go zatrzymał, gdy chciał pójść sobie? Nie mogę spokojnie odetchnąć, póki on będzie ze mną pod jednym dachem!

Edmund wypatrzył się na matkę. Wiedział, że Oswalda nie lubi, ale żeby ona, tak zawsze zimna i spokojna, mogła unieść się do tego stopnia, to go istotnie przeraziło.

Wejście służących, którzy i tu ostatecznie chcieli świece pogasić, przerwało rozmowę. Hrabina w obec sług nigdy z niczem się nie zdradzała. I teraz w jednej chwili potrafiła stłumić uniesienie, głosem spokojnym wydała kilka rozkazów, wzięła syna pod ramię i do swoich pokoi odeszła. Zdawało się, jakby żałowała takiego i w obec syna zapomnienia, gdyż więcej tej kwestji nie podniosła, a on też rad był temu. W sądzie o Oswaldzie raz na zawsze z matką się nie zgadzali.

Młoda narzeczona dotąd także nie udała się na spoczynek. Wciśnięta w głąb fotelu dumała głęboko. Nie uważała, że mnie niemiłosiernie róże i koronki suknię ubierające; nie rzuciła okiem na piękny garnitur z pereł i brylantów — dar narzeczonego — który kilka dni temu z taką radością przyjęła. Wszystko w zamku powoli ucichało, tylko Oswald i ona, dotąd zasnąć nie mogli.

Czemu siedzi tak smutna i zamyślona? Wszak dzień dzisiejszy spełnił i jej najtajniejsze życzenia? Nawet i dla tak bogatej dziedziczki, dla dziecka tak popsutego, było to nie małym tryumfem, zostać wpro-

wadzoną do zamku Ettersberg, jako przyszła tegoż pani i władczyni. Czemuż uśmiech szczęścia nie krasi tych lic zbladłych? Czemu ciężka troska na czole tak zwykle jasnym osiadła? Bo w jej duszy jeden obraz tkwi ciągle, wzgórek pod lasem majaczy, jaskółki uwijają się po nad głową przecinając powietrze ciężkie i wilgotne, a głos tajemniczy szepce jej do ucha:

— Jaskółki wiosnę zwiastują, wiosna przyjść musi, tak w naturze, jak i w życiu ludzkiem... tylko że czasem w życiu przychodzi za późno!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GENJALNY INŻYNIER

NOWELLA.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Kiedy wszyscy okrążali wzgórze, ujrzeli siedzącą na trawie biedną, obdartą kobietę, z płaczącem dzieckiem na ręku. Harold był pewny, że dumna patrycjuszka ze wstrętem odwróci oczy od widoku nędzy i uniesie fałdy sukni, żeby się przypadkiem nie otarła o brudne łachmany żebraczki; nie byłby się nawet zdziwił, gdyby się użalała na to, ze musi oddychać tem samem powietrzem, co taka upośledzona istota. Omylił się jednak. Piękna panna zatrzymała się, litość zabłysła w jej oczach. Ona, co nie raczyła uśmiechać się do książąt, wyniośle odrzucała najpierwsze partje w kraju, „najdumniejsza dziewica w Anglji“ dobrotliwie rozmawiała z obdartą żebraczką.

— Co jest waszemu dziecku? — zapytała, słysząc cichy, żałośny jęk maleństwa.

— Umiera! — z ponurą rozpaczą odpowiedziała nieszczęśliwa matka.

Białe, wypieszczone rączki hrabianki odrzuciły płachtę, w którą chore dziecko było owinięte, i z tkliwą litością dotknęły bladej jak płótno twarzyczki.

— Umiera z nędzy — jęknęła kobieta — takie to małe, słabe, a głodne, bardzo głodne...

Miss Liliana wzięła na ręce biedne dziecię w łachmanach

— Tyś także chora i osłabiona, — rzekła do niej.

— I głodna, tak jak moje maleństwo najdroższe — zawołała zbolała matka, — oddaj mi pani dziecko, umrzemy tu razem na słońcu.

— O nie, na to nie pozwolę! — zawołała miss Liliana, której dumne oczy — o dziwo! — były łez pełne. — Nie pytam się, kto jesteś i zkąd jesteś, potrzebujesz przedewszystkiem pożywienia i spoczynku, potem pomyślimy o reszcie... Nie płacz, nie płacz biedaczko.

Kobieta zanosiła się od płaczu, a miss Liliana kojąc jej żal łagodnemi słowy, starała się pocieszyć i wlać nadzieję lepszej przyszłości w to znękane serce. Harold wpatrywał się z zachwytem w tę uroczą, wytworną postać, pochyloną jak anioł nad tą biedną kobietą.

— Panie Vibart — rzekła, zwracając się do niego — powóz został za nami, bądź pan łaskaw zawołać Jana, żeby tu bliżej podjechał.

Zdumiony Harold pobiegł wypełnić jej polecenie, a hrabianka z dziecięciem na ręku zbliżyła się ku powozowi.

— Janie — rzekła — pojedziesz jak najprędzej do Ulverscroftu i zawieziesz tę biedną kobietę do szpitala. Powiesz dozorczyni, pani Manner, że miss Liliana Andley poleca jej, żeby natychmiast wezwała doktora i otoczyła troskliwą opieką chore dziecko i matkę. Jutro rano sama będę w szpitalu.

Woźnica widać był przyzwyczajony do takich poleceń, gdyż nie okazując zdumienia, odpowiedział:

— Rozumiem miss.

Harold pomógł biednej kobiecie wsiąść do powozu, miss Liliana złożyła dziecko na jej kolanach.

— Nie trać nadziei — rzekła do niej — doktor wyleczy twoje chore maleństwo, nie płacz i podziękuj Bogu, żeś znalazła przyjaciółkę.

Rzęsiste łzy spływały po twarzy nieszczęśliwej kobiety, która przerywanym głosem błogosławiła hrabiankę.

W milczeniu szli brzegiem rzeki, po miękkiej murawie; nagle miss Liliana podniosła swe piękne oczy na gościa.

— Powiedz mi panie Vibart, dlaczego patrzysz na mnie z takiem zdumieniem?

— Wybacz pani, nie wiedziałem o tem.

— Powiedz mi pan — nalegała — co cię tak we mnie zdziwiło?

Harold postanowił być szczerym.

— Słyszałem, że panią nazywają ludzie „najdumniejszą dziewicą Anglji“ — rzekł śmiało.

— Wiem o tem — przerwała z uśmiechem — zdaje mi się, że zasługuję na to miano.

— A jednak wzięłaś pani na ręce żebracze dziecko i przemawiałaś do niej łaskawiej niż do swoich gości; jakże to jedno z drugiem pogodzić?

— To żadnego niema związku z dumą — odparła spokojnie — sądzę przeciwnie, że gdybym okazywała pogardę osobie biednej lub zależnej odemnie, ubliżałabym sobie.

— Dlaczegoż więc ci ludzie nazywają panią tak dumną?

— Nie wiesz pan istotnie?

— Nie wiem, sądziłem, że duma zasadza się głównie na pogardzaniu wszystkiem co niższe.

— Mylisz się pan, to pycha, nędzna pycha dorobkowiczów, którą się brzydzę! Szlachetna duma szczyci się z posiadania zacnego imienia, żadną nie splamionego hańbą; szlachetna duma gardzi wszystkiem co kłamie i poniża się, ubiega się o to co jest wzniosłe i piękne, lekceważy złośliwe plotki i gadaniny pospo-

litych ludzi; — zdaje mi się że tego rodzaju dumę ja właśnie posiadam.

Delikatne jej lica silniej się zarumieniły, dźwięczny głos dobitnie wygłaszał wyrazy.

— Ludzie mię nazywają dumną, ponieważ nie chcę słuchać obmowy i złośliwych żartów, ponieważ nie chcę przebywać z osobami, których nie lubię i nie szanuję, ponieważ gardzę kłamstwem i obłudą. Mówią, że przez dumę nigdy się nie zakocham i zamąż nie pójdę, ale...

Zatrzymała się nagle, przyszło jej na myśl, że zbyt otwarcie rozmawia z obcym człowiekiem.

— Zrozumiałeś mnie pan? — zapytała porywczo.

— Zbyt dobrze, niestety!

VI.

Skoro powrócili do zamku, Harold pokazał im plany i szkic mostu, którym tak się zachwycał sir Ryszard. Lord Andley siedział przy stole w bibliotece i uważnie przypatrywał się rysunkom; miss Liliana zrzuciwszy kapelusz stanęła przy ojcu i pieszczotliwie ramieniem okoliła jego szyję. Piękne jej oczy z podziwem patrzyły na szkic Harolda.

— Prześliczny, cudowny! — zawołała — prawda ojcze, że ten most wygląda jakby spleciony z girland kwiatów?

Hrabia rozśmiał się z poetycznej uwagi córki, która dobrze określiła główną cechę mostu: wdzięk, lekkość i elegancję. Miss Liliana z zachwytem spoglądała na rysunek, a potem przeniosła wzrok na twórcę.

— Ah! jakież to piękne! Ależ pan musisz być artystą!

— Nie miałaś pani nigdy stosunków z ludźmi pracy, nie wiesz zatem, że w tej robocie niema nic nadzwyczajnego.

— Czy mógłbyś pan stworzyć coś piękniejszego jeszcze?

— Mógłbym — odpowiedział śmiało — Bóg mi dał zdolności, kocham mój zawód, a trudności, z któremi walczyć muszę, stanowią jedną więcej podnietę do pracy. Co to za rozkosz opanować bystry nurt rzeki, przebić twardą skałę, zwyciężyć przeszkody i tryumfować nad przyrodą, która człowiekowi stawia ciągłe zapory!

Harold mówiąc te słowa dumnie wzniósł głowę, a w jego pięknych, rozszerzonych oczach błyszczał ogień zapału. Hrabianka z uwielbieniem patrzyła na niego, mówiąc sobie w duchu, że ten genjalny inżynier, co tak ukochał swój zawód, tak wysoko cenił pracę, tak lubiał walczyć z żywiołami i zwyciężać przyrodę, był tysiąc razy więcej wart, niż elegancka złota młodzież, którą spotykała w salonach.. Jego wytrwałość, odwaga i zapał, budziły w niej podziw i szacunek zarazem.

Harold wkrótce był w zamku jak u siebie, przez wszystkich lubiony i poważany; jego szlachetny umysł, wyższy charakter, niepospolita uroda i naturalne a pełne dystynkcji obejście, wszędzie jednały mu przyjaciół. W kilka dni później przyjechał młody książe Waltham, który jednak nie zdobył sobie połowy tej sympatji i uwielbienia, jakiemi otaczano inżyniera.

Duszę młodzieńca wciąż jedna gnębiła troska — wstydził się swego pochodzenia i w śmiertelnej był obawie, żeby się nie wydała jego tajemnica. Czuł, że go poniża to uczucie, nienawidził siebie za to nikczemne tchórzowstwo, ale nie miał siły z niem walczyć.

Jednego dnia lord Andley wydawał obiad dla kilkunastu osób z sąsiedztwa; przy stole zaczęto mówić o nowym nabywcy pysznych dóbr Wylton Chase, zbogaconym fabrykancie konserw, który usilnie pragnął wcisnąć się do wyższego towarzystwa.

— Nie dopuścimy go! — mówiła z oburzeniem lady Holte z zamku Holte.

Harold potrafił zdobyć sobie miejsce obok hrabianki, która w białej koronkowej sukni, utkanej wodnemi liljami, w brylantach na szyi, wyglądała jak królowa rusałek.

— Nędzny to musi być pyszałek — rzekła do Harolda — z pewnością nie przyjęłabym go w swoim domu, ponieważ ani urodzeniem ani wychowaniem nie należy do naszej sfery; inne ma pojęcia, przekonania i zwyczaje. W społeczeństwie muszą być rozmaite klasy, podobnie jak w domu jest kilka piąter, a w ziemi różne istnieją pokłady; — one wzajemnie się dopełniają. Mojem zdaniem, towarzystwo ludzi niższych stanowiskiem i pochodzeniem nie jest ani przyjemne ani pożyteczne.

— A jednak bierzesz pani na ręce dziecko nędznej żebraczki.

— To co innego, widzę, że mnie pan nigdy nie zrozumiesz. Gdybym była naprzykład owym zbogaconym fabrykantem konserw, duma nie pozwoliłaby mi kupować starych portretów na licytacji i podawać je za wizerunki przodków. Wolałabym chlubić się z moich własnych zasług i powiedzieć: byłem niegdyś fabrykantem konserw, uczciwą pracą, oszczędnością i szczęśliwemi obrotami doszedłem do majątku: kto umie cenić prawy charakter, ten przebaczy mi brak elegancji.

Harold rozśmiał się z goryczą.

— Pani jednak nie pojechałabyś do Wylton Chase? — zapytał.

— Szczerze mówiąc, nie — odpowiedziała — ci ludzie w niczem nie są mi równi.

Spojrzał na nią poważnie.

— Zaczynam panią rozumieć: duma nie broni hrabiance nieść na ręku dziecięcia w łachmanach, ale nie pozwala jej odwidzieć zbogaconego fabrykanta konserw.

— Nakoniec pan mię zrozumiałeś — odrzekła z uśmiechem.

Mimo to Harold był dziwnie nieswój.

— Miss Liliano — zaczął — skarcisz mnie pani, jeżeli niewłaściwe zadam jej pytanie, ale chciałbym

wiedzieć rzecz jedną. Większa część gruntów w dobrach hrabiego jest wydzierżawiona, czy panią choć trochę obchodzą uprawiający je wieśniacy?

Rozśmiała się wesoło, nie uważając, że usta młodzieńca drżą, a w jego pięknych oczach maluje się niepokój.

— Zabawne pytanie! — zawołała — lubię i szanuję wieśniaków, cenię ich uczciwość, pracowitość i prostotę, ale cóż między mną a nimi może być wspólnego?

— Nie przyjęłabyś pani w swoim domu chłopskiego syna, nie uważałabyś go nigdy za równego sobie?

— Naturalnie — odrzekła z uśmiechem, bynajmniej nie obrażona jego słowami.

Harold pomyślał z goryczą, że gdyby wiedziała o jego pochodzeniu, nigdyby nie przemówiła do niego. Hrabiankę zdziwiła smutna zaduma, która ogarnęła młodzieńca, ale w tej chwili właśnie półkownik Gordon zabrał głos i tem zwrócił na siebie uwagę towarzystwa.

— Piękne dobra Burchall w naszej okolicy — opowiadał półkownik — kupił sir John Hford, człowiek bardzo bogaty, niegdyś kupiec, potem lord-major Londynu, uszlachcony przez królowę za jakieś usługi oddane państwu. Wkrótce po swojem przybyciu, wydał w starożytnym zamku Burchall wspaniałą ucztę, na którą zaprosił śmietankę towarzystwa. Z dumą i zadowoleniem mógł spoglądać na tłum szlachetnie urodzonych gości; pochodzenie jego było nizkie — syn ubogiego robotnika, własną pracą zdobył sobie majątek i stanowisko. Jego rodzice żyli dotychczas w małej mieścinie i pomimo próśb syna, nie chcieli zmieniać sposobu życia i korzystać z jego bogactw. Osobisty wróg sir Johna, dowiedziawszy się o pysznej biesiadzie, którą miał wyprawić nowonabywca, udał się sam do miasteczka, gdzie mieszkali rodzice dorobkiewicza i wmówiwszy w nich, że przybywa z prośbą od syna, zabrał z sobą staruszków, którzy nie mieli nawet czasu zmienić codziennego ubrania na odświętne szaty. Goście siedzieli właśnie przy stole, kiedy otworzyły się drzwi sali jadalnej i kamerdyner głośno oznajmił rodziców sir Johna; — sędziwa para weszła drżąc ze strachu i zdumienia. Chytry nieprzyjaciel był przekonany, że gospodarz, który siedział właśnie między hrabiną a baronową, będzie się wstydził ubogich rodziców i zaprze się ich wobec zgromadzonych gości; zawczasu cieszył się z upokorzenia nienawistnego bogacza. Ach! jakże się omylił!... Nie mogę mówić o tem bez wzruszenia. Sir John stał przez chwilę zdumiony, a potem zbliżywszy się do starej matki, ucałował ją serdecznie, uścisnął spracowaną dłoń ojca, mówiąc: Witam was moi najdrożsi. Wziąwszy ich ręce, zaprowadził do stołu. — Panowie i panie! — rzekł do swoich gości — pozwólcie mi przedstawić sobie mego ojca i matkę; im wszystko zawdzięczam i dlatego też czczę ich i kocham z całego serca. Jeżeli kto z obecnych nie chce mnie znać, ponieważ jestem synem ubogich rodziców, chętnie zerwę z nim stosunki. Zaledwie skończył te słowa, rozległo się donośne: Niech żyje sir John! Mężczyźni z zapałem wnieśli jego zdrowie, kobiety miały łzy w oczach; pani hrabina usunęła się, żeby zrobić obok siebie miejsce dla matki gospodarza, pani baronowa uczyniła toż samo dla jego ojca. Szlachetność sir Johna zjednała mu więcej przyjaciół, niż olbrzymi majątek.

— Zacny człowiek! — zawołał lord Andley, kiedy półkownik skończył opowiadanie.

Harold milczał, pytając się w duchu, coby to było, gdyby nagle stanął przed piękną patrycjuszką, trzymając za rękę swoich rodziców? Wstrząsł się na tę myśl, czując, o ile jest niższym od bohatera tamtej powieści. Zwrócił się do miss Liliany i ze zdumieniem ujrzał łzy w jej oczach.

— Pani płaczesz? — zawołał.

— Czyż pana to dziwi? — odparła — któż bez wzruszenia mógłby wysłuchać takiej historji.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

UROCZYSTOŚĆ MAJOWA.

W niektórych wioskach Szwabji, Bawarji i Tyrolu istnieje zwyczaj, że w pierwszą niedzielę maja zbierają się wszystkie dziewczęta ze wsi, każda z zieloną gałązką w ręku i zatrzymują się przed domem, w którym mieszka młoda mężatka. Skoro do nich wyjdzie nowozaślubiona, pytają się o jej zdrowie i szczęście, a potem lekko uderzają gałązkami, na znak niezadowolenia, że opuściła ich grono. Otrzymawszy jakiś dar pieniężny, udają się do następnej chaty, i tak dalej dopóki nie obejdą wszystkich młodych mężatek. Z uzbieranych pieniędzy wyprawiają wieczorem bal, na który zaproszeni są wszyscy ze wsi kawalerowie; damy same tego dnia wybierają tancerzy.

WZBOGACONY PRZEZ POŻAR.

Podczas pożaru wsi Ruskowola, między Syrnikami a Łęczną położonej, włościanie zdziwieni zostali, że w jednym z domów z gorejącej belki wylewał się jakiś płyn, jak się zdawało, podobny do ołowiu. Po spaleniu się całej chaty, przez ciekawość poczęto rozgrzebywać to miejsce i znaleziono bryłę około 80 funtów wagi mającą, która okazała się nie czem innem tylko srebrem, stopionem z rubli przechowanych wewnątrz belki przez ojca czy dziada dzisiejszego właściciela chaty, który nie wiedział wcale, że podobny skarb w domowstwie swojem posiada. Tym razem żywioł ognia nie zrobił szkody pogorzelcowi, lecz przeciwnie zbogacił go niespodzianie.



Z numerem dzisiejszym kończy się prenumerata kwartalna. Upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty dla uniknięcia zwłoki w przesyłce.

Administracja.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.